Nr. 9. We Lwowie dnia 27. lutego 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

SPORNE TERYTORJA.

(Ciąg dalszy).

Nie wszędzie atoli na Orawie da się to zrobić, bo tylko mała część jej własnością jest włościańską: większa część komitatu orawskiego należy do spółki testamentowej magnatów węgierskich, opartej na majorackiej nienaruszalności dóbr, a część też jest miejskich gruntów Czciany, Kubina. Na tych więc dwóch kategorjach obszarów Podhalanin bierze tylko w dzierżawę pewną ilość morgów pod siano, ziemniaki lub kapustę, rozbija tam swój szałas i gazduje, z flintą w ręku, opędzając się natrętnym stadom dzików, a niekiedy i niedźwiedzi.

Wskutek tych wielorakich i różnorakich rodzajów wzajemnego ruchu ludności, wytworzyły się na tych połaciach tatrzańskich z jednej i drugiej strony działu wód zarówno w dorzeczu dunajsko-popradzkim, jak orawo-wagskim stosunki osobliwsze etnograficzne wogóle i językowe w szczególności — raz pstre i barwne, drugi raz wspólne bez względu na granice administracyjne, polityczne i państwowe. Przy powszechnem bezwyjątkowem na całym obszarze tatrzańskim panowaniu czuh, nogawic obcisłych i kierpców (krypci) widuje się na podhalu wschodnim, podwijane ze słowacka-węgierskie k ł o b u k i, a znów gdzieś w głębi Orawy i Liptowa — kapelusze z równemi, jak rozpostarte pióra orle skrzydłami kapeluszy podhalskich. Nieraz poza północnemi i wschodniemi połaciami Podhala, nawet na krańcach Nowotarszczyzny, poza Czorsztynem ku Sandecczyźnie i Pioninom spotkać można w mowie słowackie *h*, *ď*, tudzież *u*, jako zastępcze polskich brzmień *g*, *dz*, *ą*; natomiast w głębi Orawy słyszy się mazurowanie i twarde ł polskie, obce mowie słowackiej. Rynizm i zastępstwo jego tudzież alternacje gardłowych, wyrobiły się tu odmiennie, niż we wszystkich innych okolicach na północ łańcucha karpackiego; we wschodniem i zachodniem Podhalu i na Orawie granice obszarowe gwar zmieniają się z każdem pokoleniem, w ostatniej generacji w okolicach należących do Węgier — z widoczną przewagą słowacczyzny. Mimo to w oddzielnych osadach i dziedzinach (wioskach) np. na Orawie lub Spiżu, których ogół bardziej słowacki, niekiedy czysto słowacki, są liczne rodziny, zdradzające piętno polskie jednocześnie różnego stopnia dla każdej z nich w miarę tego, czy uwarstwowienie polskie odbyło się wcześniej lub później.

Tembardziej pstrokacizna taka panuje w debrach i puszczach leśnych lub zdala od liczniejszych osad. Właśnie i teraz ją obserwowaliśmy. Przez czas kilkugodzinnego pochodu przez dolinę Orawicką i Orawską napotykaliśmy ze Stękałą rodziny czysto polskie szałasowych dzierżawców na polanach, to znów zachodząc do leśników na miód i mleko, — widzieliśmy i słyszeliśmy w nich mieszańców, mniej lub więcej zbliżonych do typu polskiego lub słowackiego lub nawet zgoła różnych, a takich, które przechodząc ze środowiska wiekami wyrobionego fizycznie i językowo, przyswoili sobie naleciałości jednego i drugiego.

Około godziny 2-giej po południu, dotarliśmy do końca doliny, mając przed sobą amfiteatralne przedłużenie tego pasma górskiego, którego dalej na lewo majestateczne turnie i wierchy sałatyńskie kąpały się w chmurach, to znów przedarłszy je, spozierały białemi szczerbami na dalszy Liptów, lub bliższą u stóp ich ukrytą przed okiem naszem dolinę żuberecką. Na prawo przed nami wzgórza te zni-

żały się coraz bardziej i nareszcie wykręcały się w głąb i tworzyły łagodny wąwóz dnem którego wiła się droga do Zuberca. Rozmyślaliśmy nad tem, czy skierować się tędy i przez Habówkę (nie nowotarską, a orawską) dostać się do Zuberca, lub też wybrać krótszą, ale uciążliwszą drogę na przełaj przez górę, gęsto porosłą borem bukowym, świerkowym i jedliną.

— Jego Miłość ostanie w Zubercu? - pyta Stękała.

— Muszę na dzień lub dwa dni zostać u Kocjana, dawnom go nie widział.

— Wim, on gazduje z cerą (córą) kisasankom (panną dobrych manier) od kiela nie stało niebozycki zeny.

Właśnie w tej chwili nadeszła z Habówki gadatliwa słowaczka i wnet podchwyciwszy rozmowę:

— Radi pani chodiewajo na Orawu?

— A hej.

— A se zobawajo hodnie?

— A hej.

— A z Zakopaneho Oni sut?

— A hej.

Stękała słysząc, iż temu końca nie będzie, począł naglić:

— No biermy sie, no podźmy!

Poszliśmy na przełaj przez górę i po półtora godzinie byliśmy w Zubercu. Stękała pomknął chyżo na Liptow, a ja zostałem na leśniczówce u Kocjana, tego samego uczonego ornitologa-leśniczego, byłego powstańca z 1863 r., którego tak dobrze znają uczeni w Wiedniu, jak przyrodnicy zabiegający w Tatry. Wspominałem o nim i pisałem kilka razy w sprawozdaniach z moich wycieczek górskich, począwszy od 1883 roku, kiedy w ówczesnym „Wędrowcu“ warszaw., namawiałem instytucje nasze, a zwłaszcza Towarzystwo tatrzańskie do zakupna jedynych w swoim rodzaju zbiorów fauny i flory tatrz., z którychby założyć można Muzeum tatrzańskie, które Kocjan gotów był za bezcen, bo za 800 reńskich odstąpić, byle się dostały w ręce polskie. Gdy wszakże poczęto przeprowadzać ankiety, obliczenia, sprawozdania minęło lat parę, a Kocjan przyciśnięty potrzebą, musiał sprzedać swe zbiory do Pesztu. Skorzystaliśmy tyle tylko, że raz poruszona i dyskutowana sprawa muzealna doprowadziła nareszcie istotnie do ufundowania muzeum im. Chałubińskiego w Zakopanem.

(C. d. n.)

Ostatni romantyk.

(Ciąg dalszy).

W żadnym z utworów Ujejskiego — w „Nocy natchnienia“ chyba tylko, nie spotykamy tak wdzięcznego opisu natury, jak w „Powieści sybirskiej“. Niezrównanie pięknym jest ten wieczór cichy nad brzegiem jeziora, przerżniętego kolumną księżycowego światła. Według swego zwyczaju autor użył zaledwo kilka pociągnięć pędzla i dał rzecz prześliczną.

W „Podróży przerwanej“ mamy do czynienia z odrębnym zupełnie typem szorstkiego rębacza, zakochanego we wrzawie wojennej, miłującego nadewszystko swoją armatę, którą przystrajał i pieścił jak cacko i dumnym był niezmiernie, gdy zmiatała jednem huknięciem całe szeregi nieprzyjaciół. Przy szturmie Warszawy cudów z nią dokazywał, a kiedy mimo wszystko nieprzyjaciel na szańce się wdzierał, nie chcąc odstąpić ukochanej, przy niej i dla niej poległ. Ale ów szorstki wojak, sarkający na wszystko i na wszystkich, miał serce głębokie, zdolne czuć, jak tylko poeta czuć umie. Na natrętne prośby młodzieży, opowiada przy ognisku obozowem dzieje swojej jedynej podróży, kiedy w młodym wieku rwał się w świat szeroki i tak tęsknił w domu, że aż ojca zmusił wybrać się z nim w podróż po świecie. Ale kiedy nie przekroczywszy jeszcze granicy, zapoznał się bliżej z własną ziemią, z jej pamiątkami i dziejami, kiedy zwiedził Kraków, to „Jeruzalem nasze“, odpadła go chęć zwiedzania cudzych kątów, zawisł rękami na szyi ojca, i prosił go całując przez łzy, aby kazał zawrócić konie i nie wiózł patrzeć na piękności obce, kiedy swoje aż nadto wymowne, a bez granic drogie...

W innych poemacikach, także lśnią się szczodrą ręką rozsypane perły poezji. „Konfederat Barski“ jest cały od początku do końca perłą najczystszej wody, jedną łzą starca zastygłą, wypłakaną po dawnych czasach, po wielkich chwilach, po wielkich ludziach.

A oweż „Błonie Medyckie“? Gdzie znaleźć podobnej siły tęsknotę i rzewność? Nawet sam Słowacki, rzucający brylantami uczuć i rymów, równie wdzięcznej, pełnej ciszy i zadumy pieśni nam nie wysnuł.

Równocześnie z poematami ukazały się „Tłumaczenia Szopena“. Szopen był osobistym przyjacielem poety. W ich przekonaniach i sympatjach, leżało jakieś pokrewne uczucie, które zbliżało ich ku sobie. Ta łączna nić dała możność poecie bardziej niż komu odczuć nastrój, który przemawiał w utworach wielkiego mistrza tonów oraz zrozumieć myśl ich budowy; narodowa zaś muzyka dotknęła w poecie stru-

ny najczulszej i najwyżej nastrojonej, wszystko to razem zrodziło chęć zawtórowania tonom słowami. Powstały stąd Mazurki, Preludja i najwspanialszy ze wszystkich Marsz pogrzebowy. Utwór to zbyt popularny, aby wypadało jeszcze coś dorzucić do sądu, jaki publiczność nasza sama już wydała, czyniąc z niego ulubiony przedmiot swoich estetycznych upodobań. Charakterem i nastrojem „Marsz“ tak blisko spokrewniony jest ze „Skargami“, że gdyby nie zupełnie odmienny temat, zaliczyćby go można było do cyklu hymnów Jeremiasza. Odnajdujemy tu wszystkie dźwięki tamtych wspaniałych, łkaniem nabrzmiałych akordów, widzimy tę samą głębię uczucia, wypowiedzianego we wstrząsających rymach; a rzewna liryka, która tam kiedy niekiedy przewinie się nieznaczną nicią, tu wyśpiewała najpiękniejszą pieśń swoją.

Inne przekłady Szopena nie dochodzą miary Pogrzebowego Marszu; odznaczają się z nich te, w których przemówiły głośniej cechy właściwe charakterowi samego piewcy, a więc. z Preludjum, rozpoetyzowanie do uniesienia, Mazurki, jak: „Koniucha“, „Noc straszna“, z których wieje posępny, ponury nastrój, rozpacz dzika.

Wyśpiewawszy serdeczne melodje Szopena, zwraca się znowu do właściwej i niewątpliwie milszej dla siebie dziedziny uczuć narodowych. Dzieje biblijne, służące niewyczerpanem źródłem natchnienia dla każdego poetyckiego ducha, nęcą go jeszcze ku sobie podobieństwem chwili dziejowej upadku i niewoli.

Izrafil, anioł melodji, błąkający się samotnie po białych chmurach z harfą hebrajską od łez zardzewiałą, rozpacza, iż nie ma komu jej powierzyć. Napotyka innego anioła, i ten mówi mu, że w cieniu swych skrzydeł tuli ziemskie dziecko, co chociaż „sławą i pieśnią nie wzleci wysoko, ale ma duszę czystą i nie świecką, serce do uczuć, do łez skłonne oko“. W narodzie jego „każdy śmiech jest grzechem, i pieśń im każda wśród bolów dojrzewa, on smutny, bo tam wszyscy smutni...“ I oto anioł melodji rzucił mu harfę żałobną.

Omylił się poeta — sławą i pieśnią wzleciał wysoko, a w „Melodjach biblijnych“ tak, jak w „Skargach“ dosięgł szczytów. Względnie do „Skarg Jeremiego“ zachodzi tu jednak pewna różnica. Tam w hymnach i modlitwach był nieporównany; ani takiej siły, ani takiego bolu, żadna z pieśni naszych nie wyśpiewała; tu zaś w tych krótkich modłach i urywkach nie spotyka się już tego żywego żalu młodej piersi, widnieje tu bardziej ponury smutek, oznaka długo trwającego znękania: a i piękna nie spotyka się już tyle. Lecz za to, jakąż szczytną poezję posiadają sceny dramatyczne: Samson, Judyta, Mojżesz. Oddać z taką tragiczną siłą owe heroiczne postacie, tak subtelnie uchwycić nastrój wielkiego ducha, i w tak skończenie artystycznej oddać go szacie, na to trzeba samemu mieć skrzydła, trzeba być mistrzem.

Każdy z tych utworów, ma za osnowę miłość kraju. Czy Judyta — taka piękna, ponura, krwawa — która wyszła ze swojej chaty wdowiej, aby dać się skalać pocałunkiem wroga, a potem pchnąć go nożem i odciętą głowę rzucić pod nogi uciśnionemu ludowi — czy Samson, igrający z życiem wrogów, jak dziecko z zabawką, rozdzierający lwa łatwą ręką, pełen tytanicznej mocy oraz zapału do wielkich czynów — są to istoty, tchnące tylko miłością ojczyzny, a wielkie, niezrównanego uroku i majestatycznej mocy.

Z pomniejszych obrazków „Hagar na puszczy“ dobrze znana ogółowi, ma w sobie również ten koloryt wielkości i grozy.

Wszystkie utwory Ujejskiego z małymi zaledwo wyjątkami posiadają zabarwienie ponurego nastroju. Wieje z nich smutek poważny, surowy, często przechodzący w porywy rozpaczy, lub żądzę zemsty. Nie dopatrzyć w nich nigdy czułostkowości, drobnych uczuć, sunących po wierzchu; z głębi, z przepaścistych a bogatych głębi płynie ten głos i ma w sobie siłę gromowych huków i grozę zbliżającej się burzy. Jeśli płacze, to płaczem męskiej piersi, w którym krwawi się serce, jeśli jęknie — to rykiem zranionego lwa, a modli się — to hymnem chóralnym, głosem, z miljonów piersi w niebo bijącym.

Obok tej dramatyczności w wypowiadaniu uczuć zasadniczo wielkich, — nie ciasno egoistycznych, lecz obejmujących żądania i potrzeby całego narodu, — spotykamy się często u Ujejskiego z odcieniem zupełnie odmiennej natury: z cichym, rzewnym, miękkim smutkiem, z tęsknotą letnich wieczorów i zadumą północnej ciszy; a jedno i drugie, jak zwykle u Ujejskiego, nie pośledniej siły.

Formą władał Ujejski przedziwnie. W samem brzmieniu słów i rytmu słyszeć się nieraz daje majestat rozkołysanych dzwonów lub ostry brzęk stali, a potem znów cicha, serdeczna, wonna, rzec można, słodycz i tęsknota.

(C. d. n.). *W. Dalecka.*

Pośmiertne wydanie.

Z MYŚLI ZAGASŁYCH.

(Ciąg dalszy).

Pełną mam głowę marnujących się, uwięzionych pomysłów, pełne ich serce, pełne nerwy, drgające niemi, — lecz nie mam czasu wypu-

ścić ich na wolność, rozwiązać spętane ich skrzydła! O! ciężka to męka... Gdybym był sam!.. Sam — czyżbym się zastanawiał choć jedną chwilkę?.. Wyrwałbym się z tych galer, nie oglądając się na nic — i utorowałbym sobie drogę. Z nią... niepodobna.. a może tylko tak słaby jestem, tak się boję o nich, że mi się to wydaje tylko niepodobieństwem?

Bo ona by mię nie zrozumiała. Brzmi to tak nieszczęśliwie, że aż samego mnie razi, aż mnie samemu nasuwa podejrzenie manji wielkości. A więc niech będzie: niezrozumielibyśmy się w żaden sposób.

Tyle mi razy mawiała z prawdziwą wdzięcznością, z tą rzadką ciepłą nutą, której nigdy już prawie nie słyszę:

— Jestem ci nieskończenie wdzięczna, drogi mój Edwardzie, za wytrwałość i cierpliwość w nieznośnej twej robocie; tem bardziej, że jak sam twierdzisz, jest ona trudną i przykrą dla ciebie i że nawet uzdolnienia w kierunku tym nie posiadasz. Wielka to ofiara dla nas, mój ty kochany biedaku!

W tonie jej przebija odrobina litościwego współczucia... jak u zwierzchnika w biurze.

Raz jeden próbowałem nadmienić jej zdaleka i prawie niewyraźnie, czy nie należałoby spróbować szczęścia w innej jakiejś sferze? — Aż drgnęła na to, przeraziła się ogromnie.

— Na miłość Boga! — zawołała - teraz wszędzie taka walka, taka olbrzymia konkurencja! Trzeba obrotności niezwykłej, specjalnego daru zawiązywania stosunków, — a tych, wybacz mi, całkiem nie posiadasz. Proszę cię najgoręcej, nie myśl o tem bynajmniej. Moglibyśmy dojść do ostateczności.

Z matką mówiła otwarciej. Usłyszałem to kiedyś mimowoli, spóźniwszy się nieco z wyjściem do biura.

— Żadnego lepszego stanowiska nigdy on nie uzyska. Pod tym względem okrutnie jest niezdolny. Lękam się prawdziwie, aby tej nawet lichej posady nie stracił. Wiem dobrze, że go zaledwie tolerują dla rodziny... I wszędzie byłoby to samo. Nadzwyczajne niedołęztwo. Długo mi się to zmieścić w głowie nie mogło. Tak ładna, wyrazista powierzchowność, tyle życia w ruchach i mowie, przytem taki inteligentny... Teraz, prawda, ociężał i zapatyczniał do niepoznania.

Słowa te szalenie mię zabolały. Chciałem rzucić się do niej, aby potwierdzić co mówiła o niedołęztwie mem do robót.. rzemieślniczych. — lecz gniewnie zaprotestować przeciw tej domniemanej ogólnej nicości mojej, przeciw jej wzgardliwemu o mnie pojęciu! Ale byłem tak ciężko ranny po jej słowach, i taki wstyd mię pożerał wobec tego niepotrzebnego świadka, że chwiejąc się wyszedłem do biura — i przepaliłem wszystko w swej piersi. A zresztą — cóżbym jej mógł powiedzieć na dowód, na obronę? Tak trudna i tak wymagająca jest pod tym względem. Tych parę listów pochlebnych, tych parę wydrukowanych rzeczy?!... Uśmiechnęłaby się tylko, że dla tych pierwszych, bądź co bądź, kroków — łamię naszą umowę. Wiedziała, że pisuję i że używam jakiegoś pseudonimu, lecz ani utworów, ani pseudonimu nie znała. Jeden raz tylko wpadł do rąk jej wpływowy dziennik z moją fantazją dramatyczną.

— Prawdziwie ładna i oryginalna to fantazja – powiedziała po odczytaniu. Czy nie wiesz czasem — czyj to pseudonim? bo, że pseudonim to pewne.

— Nie wiem — odpowiedziałem, z trudnością zwalczając siebie i czując jednocześnie radość i gniew za jej niedomyślność.

— Czy jest to jaka młoda siła? nowy talent? Ciekawam, czy będzie co z niego? Czy pójdzie dalej i czy utrzyma się na wysokości? Bo przecież i całkiem miernym autorom udaje się czasem napisać coś dobrego.

O dużo, dużo miałbym jej do powiedzenia, ale ją kocham, kocham! — i rzucam się tylko niedołężnie w błędnem kole i szukam wyjścia napróżno!... Właściwie — jest jedno wyjście dostępne dla mnie — energiczne i szybkie. Marzy mi się ono, marzy i we dnie, i w nocy... a coraz uporczywiej, a coraz wyraźniej.

Gdybym mógł dodać do tego, co już napisałem... a raczej to, co już napisałem, dodać do tego, co pragnąłbym jeszcze napisać koniecznie, chociażby w nocy, chociażby kosztem krwi i sił ostatnich — i gdybym dał się poznać wszechstronnie, od razu, w osobnem kompletnem wydaniu?...

Lecz aby doprowadzić wydanie takie do skutku, jeden tylko, jedyny sposób mam w swojej mocy — i widzę cel przezeń osiągnięty, jak widzę dzień biały. Czuję, że jeśli się poddam... smutnemu czarowi tego środka... czarowi tego rodzaju, jak ten, co mię pociągał magnetycznie do młodo zgasłych poetów — wydanie moje... pośmiertne — tryumfem będzie. I trymf ten, chociaż przeczuty tylko, a który nigdy odczutym i przeżytym być niema, ogromną moc rospostarł już nademną. Magnetezuje mię i pociąga, jak raj, przez który ma przelecieć chwilowym cieniem przepiękny anioł czarnoskrzydły... Tylko więc chyba drogą śmierci...

Rozpierzchnięta, spłowiała garstka poprzednich wrażeń — błysnąć powinna na nowo i zmartwychwstać, skupiona i mocna, — lecz tego jeszcze za mało by było. Ona częścią tylko być musi. Zakreślę termin sobie — i w tym terminie, chociażbym miał podeptać wszystko, co mi na drodze stanie, chociażbym nikczemnie udać miał chorobę lub manję — dopiąć swojego muszę. Muszę dać życie tym „dzieciom ducha“, jak ludzie nazywać je zwykli — tym

biednym, niespokojnym myślom, obrazom, konturom i szkicom, tłoczącym się, walczącym o pierwszeństwo w zbolałej głowie mojej... Jeśli wystąpić mam ze zbiorem, — niechże on będzie ile możności kompletnym, niech poznają mię takim, jakim jestem.

SZEREG DRUGI.

Tak więc — jedyny tylko środek niechybny — niezwykła, nagła śmierć. Jestem już prawie manjakiem, ale wnioskuję logicznie: codzienne doświadczenie nam mówi, że wartość rzeczy i ludzi wzrasta i to niepomiernie nawet — po ich utracie. Wartość zdolnego, bądź co bądź, człowieka wzrośnie odrazu, gdy go już nie stanie Gdy konkurencja nie grozi, nikną obawy i — gorsza od nich — obojętność, a żal za zmarnowanem, młodem jeszcze życiem do serc szeroko się wkrada, sympatja mimowolna gorącą falą przypływa do tego ciała zimnego, do tej śmierci, która, życiem będąc, nie mogła sobie jej zdobyć. Jak zręczny redaktor wyzyskuje kwestję dnia chwili, mody — tak i ja marzę o wyzyskaniu sympatji pośmiertnej i żalu. Bez takiej „reklamy“ dla moich nowych rękopisów i dla dawniejszych utworów — nie zwróciliby na nie uwagi. Wydanie zbiorowe musi mieć znaną firmę. Wydania z pseudonimem mało popularnym nie podejmie się skromny wydawca, gdyż ryzykować nie może — wydawcy wybitniejsi mają aż nadto materjału z gwarancją powodzenia.

Czy miałbym prawo wyemancypować się w ten sposób ze swej obskurności?... Otóż zdaje mi się, że miałbym je niezaprzeczenie.

Być może, że nie umiem po prostu wzbić się w górę, nad męty życia mego, choć siła by się znalazła. Nie umiałem dotąd — i nie potrafię zapewne nigdy! A jeśli tak żyć będę, jak żyłem dotąd, czuję, że pajęczyna ta moja do reszty mię oplącze, jej cienkie, lepkie, na pozór prawie niewidoczne nitki poczną rosnąć i grubieć coraz bardziej, aż wreszcie się przekształcą w łańcuchy żelazne, w beznadziejne pęta. Długie wysiłki — to nie moja rola.

Jednym tchem wzbiedz wysoko — i zapanować nad horyzontem! Jak gracz — postawię wszystko na jedną kartę — ale dobra to karta atutowa! A jeśli... jeśli szaleńcem tylko jestem zaślepionym — to wolę nawet szaleństwo takie od zdrowego, psiego życia mego... Niechbym umarł w szczęśliwem urojeniu, że po śmierci przynajmniej — poznają mię i te myśli moje wpłyną w żywe dusze ludzkie, a nie ześniedzieją wraz ze mną w ziemi... Zostaną na słonecznym świecie i długo na nim gościć będą.

A tryumf nad ukochaną kobietą?... nad ukochaną, a już niekochającą.. Ten wielki tryumf, jej zachwyt niespodziany, podniecony i rozżarzony boleścią i żalem, idealizującym, rozmarzającym żalem.. I ta najbliższa pozna mię wówczas, gdy inni otworzą jej oczy, a śmierć udrapuje mię malowniczo w płaszcz czarny, jak poległego zwycięzcę... Wtenczas na nowo pokocha — jak nigdy nie kochała — i kochać tak będzie przez całe życie... cień mój i sławę moją!

Nie wahałbym się ani chwili, gdyby nie jeden wzgląd... wzgląd ważny, o którym myśleć nie mogę bez męki. Ale muszę, muszę nareszcie, bo mój ten zamiar fatalny rośnie i krzepnie z zastraszającą szybkością... A więc... Dziecię... dziecino ty moja... Henryczku! O, tobie wszystko jedno, czy ojciec twój jest nędznem popychadłem w biurze, czy sławnym wielbionym pisarzem!... Dla ciebie tylko śmierć moja będzie przerażającym upiorem — ta „ładna“, „efektowna“ śmierć młodego, obiecującego talentu. Ciebie „wypadek“ ten zgnębi, przerazi i zasmuci tym pierwszym wielkim smutkiem, który się pamięta przez całe długie życie!... Tak, pamięta się przez całe życie... ale odczuwa się najwyżej przez dni kilka... Widziałem nieraz małe sieroty... i wiem, że boleść ich, łzy ich serdeczne za ojcem lub matką, wyczerpują się zwykle bardzo prędko... Potem jeśli już płaczą i cierpią... to chyba nad sobą i za siebie, jeżeli warunki ich życia zmienią się na gorsze. Ja zapewnię swemu lepsze życie przecież, a nawet będzie komu pocieszyć go i łzy jego otrzeć... Tak... zdaje mi się nawet, że tu przemawia stokroć potężniej mój własny żal rozstania, mój żal pożegnalny, niż domniemana rozpacz jego dziecinna... Ale czyż mogę swojemi uczuciami jego czucia mierzyć?... Pozostaje więc żal ten mój za nim płaczący. Trzeba... pokonać go... i z serca wyrzucić... Och, trzeba go pokonać i wyrwać... wyrwać z serca!

(C. d n.) *Janina Baudouin de Courtenay.*



Na krańcach świata.

Ptastwo odlatuje na południe, czy widzisz Antoni? Odlatuje, chociaż to dopiero wczesna jesień.

— Widzę, Anielko. Zima będzie długa i surowa.

Kobieta po chwili milczenia mówiła dalej:

— Dziś w nocy prześladowało mię kwilenie dzieciny... Nie mogłam spać.

— Był to głos puszczyka, droga moja.

— Nad ranem jakieś skrzydła szeleściały nad mojem posłaniem.

— Dzikie gęsi odlatują teraz. Szumiały piórami wyżej, niż ci się zdawało, bo ponad dachem.

— Nie widać już znanych nam wiewiórek na drzewie.

— Poszukały schronienia pod ziemią. Zima idzie, więc ją prześpią.

— Gdym odmawiała wczoraj modlitwy wieczorne, czułam wyraźnie, że lodowata jakowaś ręka cisnęła mi serce. Co to znaczy, mój mężu?

— O droga żono, serce niewieście wrażliwe jest, oto i wszystko.

— Uciekajmy stąd w cieplejsze strony, drogi! Uciekajmy nim wichry zawyją, a mrozy zabijać zaczną.

— Nie mogę ruszyć się stąd, chociaż serce moje do ciebie należy, Anielko?

— Alboż miłość nie zajmuje pierwszego miejsca w duszy człowieka.

— Obowiązek wyżej stoi od miłości.

— A jeżeli grom nieszczęścia w nas uderzy?

— A jeżeli utracimy kopalnię?

— Jakżeby kto mógł na nią natrafić w bezludnej pustyni, gdzie niema żywego ducha?

— Słuchaj, miła: ów człowiek mi powiedział: „Czy chcesz tu pozostać, Antoni, i pilnować kopalni, nim ja wrócę na wiosnę wraz z ptakami? — Ja zaś dałem słowo: „Pozostanę, — razem z żoną tutaj pozostanę i oboje pilnować będziemy pańskiej kopalni“.

— Ależ tamten troszczy się o pieniądze, a nam chodzi o życie?

— Wyobraźnia kobieca rącze ma skrzydła, — daleko leci. Wyobraźnia kobieca jutro dojrzy słońce tam, gdzie dzisiaj ciemność widzi i pioruny. Cóżbym więc mógł ci odpowiedzieć?

— Lęk mię ogarnia!... gdybyś mię miłował...

— Nie mogę. Muszę być przy kopalni — odparł poważnie

— Serce pęka mi w piersi...

— Powtarzam ci, Anielko, nie mogę odejść kopalni.

— O drogi mój!

On zwyciężył. Małżonkowie pozostali na zimę na wyspie św. Jana, położonej na Wyższem jeziorze. Minęła stubarwna' jesień, rozszalały się wichury śnieżne, brylantowa nadciągnęła zima, a tych dwoje strzegło czujnie kopalnię „pod krzakiem różanym“, którą był odkrył pewien Anglik, imieniem Falting. On i jego towarzysz byli pewni, że ta kopalnia da im bajeczne bogactwa.

Daleko na północy, hen na krańcach świata leży wyspa św. Jana. Jedna tylko wznosiła się tutaj chata i trudno było o pożywienie. Ci, co odkryli kopalnię, udali się do Londynu, wielkiej stolicy, gdzie za pieniądze można nawet dusze ludzkie kupować i załatwiali tam sprawy, odnoszące się do kopalni. A tę kopalnię, w której skarby się kryły, pozostawili opiece młodych małżonków, pochodzących z Francji.

Tłumy ludzi miały tu przybyć na wiosnę, aby wydostać z ziemi, ukryte w niej bogactwa. Ale teraz była tu pustka. I kiedy mróz jął ścinać wodę dokoła wysepki, serce kobiety uderzyło trwożnem przeczuciem nieszczęścia. Zwierzyła się nieśmiało przed mężem z dręczącej ją obawy. Nie przekonała go i odtąd nie wracała do tego przedmiotu. Ale tem gorliwiej zabrała się do roboty, zabezpieczając wedle możności przed zimnem szczupłe mieszkanko, w którem mieli wyglądać wiosny.

Zima srożyła się groźnie, lecz serca ich były odważne. Kochali się wzajemnie, a miłość uczy wytrwałości. Antoni zwiedzał co dnia kopalnię, uważając to za obowiązek. Aniela co dnia odmawiała modlitwy, uważając to za swój obowiązek. Błagała zwłaszcza o wczesną wiosnę, obawiała się bowiem, aby zimno nie zaszkodziło dzieciątku, które miało do nich zawitać. Antoni miał zwyczaj palić fajkę o zmroku, Aniela zaś śpiewała wówczas dawne piosenki francuskie, przywiezione przez ich ojców z Francji.

Anglik Falding przebywał tymczasem w Londynie. Pewnego wieczora spotkał w kawiarni znajomych i jął im opowiadać o kopalni.

— Cudownie poszczęściło się nam w tym wypadku — mówił. — Poszukiwania nasze trwały już od kilku miesięcy, nareszcie popłynęliśmy na wyspę św. Jana, raz jeszcze spróbować szczęścia. O kilkanaście kroków od miejsca, w którem zatrzymaliśmy się, zieleniał krzak róży. Pomyśl tylko, przyjacielu, krzak róży na zatraconej wysepce Wyższego jeziora. — Szczęście jest tu! — zawołałem, kierując się wprost do różanego krzewu. I zgadłem. Oto widzisz kontrakt: zawiązaliśmy spółkę z kapitałem 200 tysięcy i niebawem rozpoczniemy roboty. Tymczasem poczciwy Antoni przebywa na naszej wyspie, jak drugi Napoleon.

— Ile płacisz Antoniemu?

— Płacę mu czterdzieści dolarów i daję utrzymanie.

— Wiesz co, możebyś zapisał kilka udziałów na jego imię? Wszak dar, zrobiony ubogiemu, wraca się stokrotnie.

— Owszem. Uczynię to, jeżeli...

Przerwał mu toast, wzniesiony na powodzenie kopalni pod krzakiem różanym. Wtórowano wesołemi okrzykami, bo wszyscy mieli nadzieję posiąść dużo złota, a złotem świat się zdobywa.

Tejże nocy ostry ból zbudził Antoniego na bezludnej wysepce. A gdy słońce dobiegło

południa, ku niemu szła ciemność śmierci. Domowe środki, stosowane przez Anielkę, nie przynosiły mu ulgi. Nawet głos żony dochodził go niewyraźnie, jakby zdaleka, przez mgłę. Ale następnej nocy odzyskał przytomność i zawołał:

— Anielko!

Ona pochyliła się nad nim i tuląc usta do jego twarzy, szepnęła:

— Bardzo cierpisz, Antoni?

— Nie, teraz nie, Anielko.

Przymknął powieki; ona modliła się cicho.

— Kopalnia — szepnął — strzeż kopalni, aż do wiosny.

— Tak, aż do wiosny...

— Czy dużo masz świec, Anielko?

— Mam ich dużo, kochany.

— Skrzepła ziemia twardsza jest teraz od żelaza, a woda pod skorupą lodową przerażająco zimna, nieprawdaż, Anielko?

— Ani ostry topór nie urąbałby teraz ziemi, a woda mroźna pod lodem.

— A więc będziesz mogła patrzeć na mnie do wiosny. — Kobieta pochyliła twarz, głaszcząc jego rękę. Ból, ostry ból szarpał jej piersią.

Nad ranem Antoni zerwał się z lekkiej drzemki.

— Ktoś woła, Anielko?

Ona przyciskając rękę do bijącego swego serca, odparła spokojnie:

— To pies szczeka, Antoni.

— Słyszę czyjeś kroki u drzwi!..

— Oh, to tylko śnieg bije w szyby.

— A szelest skrzydeł... słyszę go tuż nad sobą... a ty nie słyszysz, Anielko?

— Szelest skrzydeł? — odparła złamanym głosem. — Ależ to wiatr huczy w kominie.

— Zimno mi bardzo — skarżył się Antoni i począł drżeć. — Słyszę znowu, słyszę kwilenie dziecięcia, które ma głos, podobny do twego, Anielko.

— Głos dziecka dźwięczy zawsze nadzieją — odparła z cicha, niewiedząc już, co ma mówić.

Głosy ponurej nocy ucichły. W chwili gdy blady świt błysnął na niebie, Antoni zawołał słabo:

— Anielko!... Panie kapitanie!... Jezu!... i umilkł nazawsze.

Aniela paliła noc w noc światło w izdebce, gdzie Antoni leżał uśmiechnięty w śmiertelnej ciszy i odmawiała gorące pacierze, które miłość śle za umarłymi do nieba. Twarda jak głaz ziemia nie chciała przyjąć śmiertelnych szczątkow, ale i zepsucie ich nie toczyło. To też Aniela pozostawała sam na sam z mężem, aż do mroźnego poranku, w którym powiła syna. I tego wszakże wieczoru dowlekła się pomimo mrozu do zwłok, aby zapalić świece u ciała zmarłego i wydało się jej, że twarz jego krasił jaśniejszy, niż zwykle uśmiech.

Skoro ziemia wyswobodziła się z lodowego objęcia zimy, Aniela pogrzebała Antoniego i odprawiła nad jego grobem egzekwie. Brakło przy tym obrzędzie i księdza i kościelnego, a niemowlę zastępowało orszak żałobny. Ale modlitwa jej płynęła z czystego serca i smutna wdowa nie wyrzekała, że wszystko dokoła budziło się do nowego życia, gdy ona składała w grób wiernego towarzysza.

Tegoż dnia przybyli na wyspę właściciele kopalni. Opowiadanie o zaszłych na niej wypadkach głęboko ich wzruszyło. Nie mogąc już nic uczynić dla Antoniego, nadali jego dziecięciu imię Jan i przyznali mu część dochodu z kopalni. *Gilbert Parker.*

Obrazek.

Pełen woni, barw i blasków,
Ogród w cichym mroku tonie.
Księżyc kryje się promienny
W gałęzistej drzew zasłonie.

W gałęzistej drzew zasłonie,
Dwoje serc ku sobie płonie.
I spojrzenia ciemnych oczu
Toną w sobie pół w przeźroczu.

I wyznanie z ust młodzieńca,
Płynie ciche i gorące. .
I wyznania w upojeniu
Słucha błogiem... dziewczę drżące.

„Ja Ci dzisiaj wyznać muszę,
„Co przygniata serce moje,
„Ja nie jestem godną Ciebie...
„Bo ja w świat twój wejść się boję.

„Bo ja w świat twój wejść się boję,
„W którym tłum się głodny roi ..
„Straszna tłumu tego szata,
„Ja z innego jestem świata!

„Żegnaj, Panie! Nie potępiaj!
„Bo to rani mnie i boli.
„A ja wybrnąć nie mam siły,
„Z tej błyszczącej mej niedoli“.

Ale księżyc, co ukryty
W gałęzistej drzew zasłonie
Tak powiada: „Nie płacz, chłopcze,
„Za dziewczęciem z mgieł i woni:

„Bo to dziewczę z mgieł i woni
„Jedną chwilę ogniem płonie,
„W drugiej chwili już ulata...
„Bojąc się dotykać świata.

„Nie trwoń marnie .. uczuć, wiary,
„Dla tkanego z mgły anioła...
„Ale patrzaj — jak w obrazek,
„Co z swych ramek wyjść nie zdoła.

Julja L

☆ Nowe książki. ☆

(Dokończenie).

Drugi objaw wpływów spółczesnych szkół niemieckich występuje z szczególną wyrazistością w tej części „Zarysu“, którą autorka poświęciła kwestjom metodologicznym. Możnaby, co prawda, zakwestjonować użyteczność i celowość wprowadzenia sporów metodologicznych do podręcznika, przeznaczonego dla nie-specjalistów. Ale pomińmy tę kwestję formalnej, że tak powiem, natury i przejdźmy do rzeczy samej. Skoro autorka uznała za właściwe poświęcić kilkanaście stronic tym kwestjom, to mamy pewne prawo wymagać od niej jasnego i ścisłego przedstawienia sprawy metody w ekonomji, nie zaś wprowadzenia tylko czytelnika w labirynt sprzecznych poglądów różnych szkół niemieckich.

Już wykład o „prawach społeczno-gospodarczych“ (§ 8) jest tak niejasny, że czytelnik w żaden sposób nie znajduje w nim odpowiedzi na pytania następujące: — 1) czy ekonomja polityczna posiada prawa, w naukowem znaczeniu tego wyrazu i czy zatem może być uważaną za naukę teoretyczną? 2) Czy prawa te co do swej natury są takie same, jak w innych gałęziach wiedzy, tj. czy są to także „formy funkcjonalnej zależności“, jak je zasadnie nazwał Heryng w swej „Logice ekonomji“? Z wykładu p. D. to się chyba tylko da wywnioskować, że: 1) istnieją prawa przyrody, a obok nich prawa „innej natury“, psychologiczno-społeczne; 2) że te ostatnie prawa nie sprzeciwiają się działaniu praw przyrody; 3) że „ponieważ przywykliśmy widzieć w prawach przyrody działające nieubłaganie niepojęte często siły, nieznane x, przed którem wola ludzka korzyć się musi, wahamy się nazwać prawem prawidłowość psychologiczno-społeczną, która nie podpada pod owo określenie“, 4) że jednak „kwestja, czy w ekonomji społecznej mówić możemy o prawach, czy tylko o prawidłowości, jest właściwie sporem o wyrazy“.

W wykładzie o metodzie (§ 11) nie znajdujemy również odpowiedzi na zapytanie: jaką powinna być metoda ekonomji, a raczej jakie specyficzne właściwości przybrać powinna ogólna metoda naukowa w ekonomji społecznej. Kilka początkowych trafnych poglądów autorki wkrótce znowu mącą reminiscencje jałowych sporów nauki niemieckiej. Otóż ogólnej metodzie ekonomji dopomagać muszą metody: historyczna i statystyczna, „przecież mają one w ekonomji specjalny charakter“. Na czem ten specjalny charakter polega — tego p. D. nie objaśnia. Ale my pozwolimy sobie zapytać o rację bytu samej metody historycznej, jako m e t o d y. Że w czasach reakcji przeciw szkole Ad. Smitha i oparciu badań ekonomicznych tylko na zjawiskach życia spółczesnego, autorom poszukiwań historyczno-ekonomicznych podobało się mówić o metodzie historycznej, to rzecz zrozumiała. Ale o m e t o d z i e historycznej mówić d z i ś?! Z bogatej skarbnicy dziejopisarstwa korzystają najrozliczniejsze gałęzie socjologji, ale czy np. w nauce prawa politycznego, która wiadomości o instytucjach politycznych czasów minionych czerpie z historji, może być mowa o m e t o d z i e historycznej? W prawdziwy jednak kłopot co do tego, na czem polega metoda historyczna wprawia czytelnika autorka, twierdząc (str. 21), że metoda historyczna zajmuje się nietylko zjawiskami gospodarczemi przeszłości, ale i „opisuje współczesne!“

To samo, co rzekliśmy o metodzie historycznej, da się zastosować i do m e t o d y s t a t y s t y c z n e j.

To, co autorka pisze o znaczeniu e k s p e r y m e n t u w ekonomji, również przyczynić się tylko może do pogmatwania ustalonego już i słusznego poglądu, że z e k s p e r y m e n t u, jak go pojmujemy w przyrodoznawstwie, w naukach społecznych korzystać nie możemy. Zaprowadzenie inspektorów fabrycznych, sądów rozjemczych, taryf strefowych i t. p. nazywać, jak to czyni p. D. na str. 23, eksperymentem (choćby z dodatkiem słów: „społeczno ekonomicznym“), to znaczy rezygnować zupełnie z korzyści, jaką się ma w nauce z ścisłego przestrzegania znaczenia przywiązanego do pewnych terminów naukowych.

Rozpisaliśmy się w niniejszem sprawozdaniu obszerniej o eklektycznym charakterze pracy p. Daszyńskiej, gdyż ujemne strony tego zresztą cennego i bądź co bądź pożądanego dla naszego piśmiennictwa nabytku temu eklektyzmowi właśnie przypisujemy.

p.

Wiadomości bibljograficzne.

Lud. Organ Tow. ludoznawczego we Lwowie pod redakcją Antoniego Kaliny. Tom. IV. Zeszyt 1. 1898. — Treść: J. Witort: Zarysy prawa zwyczajowego ludu litewskiego. St. Zdziarski: Pierwiastek ludowy w poezji A. Mickiewicza. Dr. K. J. Gorzycki: Antropologja rasowa. S. Udziela: Bajki i opowiadania ludu krakowskiego. Fr. Rawita - Gawroński: Szczedrówki z Tarnawy. W. Służewski: Powinszowanie na nowy rok w Buczaczu. Rozbiory i sprawozdania. Sprawy Towarzystwa.

Z drukarni Z. Golloba.